

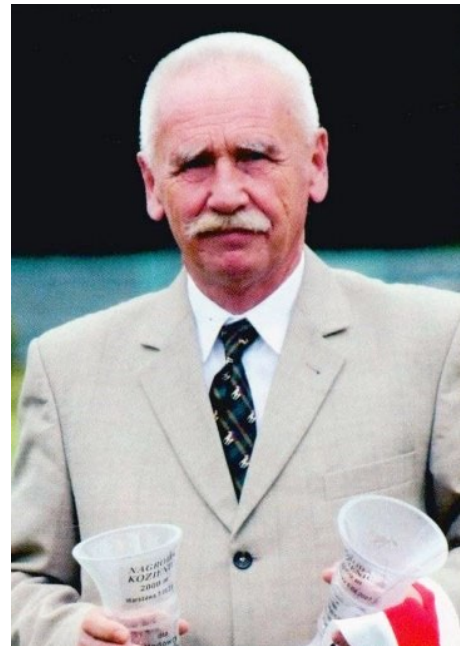
Całe życie z folblutami

Anna Deszczyńska

Jarosław Koch — od 42 lat hodowca w Stadninie Koni Widzów, opowiedział nam o swoim życiu, które poświęcił koniom pełnej krwi, o stadninie i jej najsłynniejszych wychowankach, a także o wyścigach wczoraj i dziś.

Wielu znanych hodowców czy sportowców swe zamiłowania zawdzięcza „genetycznemu obciążeniu” - końskiego bakcyła połąknieli dzięki rodzicom, dziadkom, wujkom... W przypadku Jarosława Kocha nie jest to tak oczywiste, choć z końmi zetknął się bardzo wcześnie. Jego rodzice byli warszawiakami, ale po wybuchu wojny w 1939 r. wyjechali z miasta. On sam urodził się więc w Mińsku, a dzieciństwo w latach wojennych i powojennych spędził u dalszej rodziny na wsi. Krewni mieli duże gospodarstwo rolne, w którym oczywiście były różne zwierzęta. Małego Jarka od najmłodszych lat ciągnęło zwłaszcza do trzymany tam koni, na których grzbiety był często wsadzany.

Po powrocie rodziny do Warszawy kontakt z końmi niestety się urwał. Dopiero kilka lat później, we wrześniu 1953 r., kuzyn zabrał go na wyścigi.



Jarosław Koch na Służewcu dziś, z pucharami za kolejne wygrane swych wychowanków... Fot. Marta Rosińska.

- Widziałem je wtedy pierwszy raz i byłem zachwycony! - wspomina pan Koch. - To był mityng Krajów Demokracji Ludowej. Zapamiętałem siwego Charkowa, który w gonitwie o Nagrodę Moskwy przegrał z naszym słynnym Dorpatem. Ten piękny rosyjski ogier - ciemny szpak, stalowy - dosiadany przez dżokeja **Nasibowa**, najbardziej utkwiał mi w pamięci.

Jednak z końmi związał się na poważnie dopiero w 1958 r., gdy już jako uczeń warszawskiego liceum im. Reytana trafił do Warszawskiego Klubu Jazdy Konnej, prowadzonego przy bramach Służewca przez majora **Henryka Roycewicza**. Klub skupiał wówczas wielu podobnych jemu zapaleńców - prekursorów powojennego polskiego jeździectwa. Takie nazwiska, jak choćby: **Jan Konopka, Antoni Skarżyński, bracia Jeremi i Andrzej Ryńca, Wanda Wąsowska, Izabella Pawelec-Zawadzka, Stefan Pękala**, znane są nie tylko starszemu pokoleniu koniarzy. W WKJK nauki pobierała także **Ewa Wiśniewska** - późniejsza gwiazda scen polskich.

On sam też uczył się jazdy pod okiem mjr. Roycewicza, a potem zaczął startować jako junior na zawodach w skokach, ale nie tylko.

- Major, który był przecież wukakawistą, najbardziej forował tę konkurencję. Ze mnie też próbował zrobić jeźdźca WKKW, ale nie bardzo mu się to udało. Wystartowałem raz, w Łobzie. Skończyło się to upadkiem, złamanym obojczykiem i z WKKW dałem sobie spokój.

W sporcie, zwłaszcza w skokach, działało wówczas sporo koni pełnej krwi - można wręcz powiedzieć, że miały „wzięcie”. Skąd się ono wzięło? Cóż, czasy były trochę podobne do dzisiejszych - nie bardzo było wiadomo, co robić z folblutami. Wtedy to, dzięki inicjatywie dyrektora SK Kozienice, **Jerzego Sas-Jaworskiego**, do warszawskiej Legii, niemal za pół darmo, trafiła cała partia koni, m.in. tak później znane, jak: Blekot, Brzeszczot, Cedro, Ceresan... Okazało się, że na folblutach da się startować!

Także do WKJK przysły w 1959 r. z Widzowa dwa wałachy - derbiści z lat 1955 i 56, po tym samym ojcu, og. Łeb w Łeb: Laryks (od Liryki) i Sombrero (od Somosierry II). Na Sombrero jeździł Andrzej Ryńca, zaś Laryks na dłuższy czas stał się wierzchowcem Jarosława Kocho.

- To nie były zbyt efektowne konie, ale ja je sobie chwaliłem. Laryks był energiczny i jeździło mi się na nim bardzo dobrze. Był też w klubie Hadrian z Golejewka, jeździł na nim **Andrzej Jaczewski**. Ciekawostka, że potem, gdy sekcja zaczęła się trochę „sypać”, Hadrian wrócił do stajni wyścigowej i biegał płoty i przeszkody, pod samym **Leonem Chatizowem**. Laryks zresztą też jeszcze biegał, ale dość szybko doznał kontuzji.



... i w 1964 r. na ogierze Druid (Caruso - Dynastia) w Warszawskim Klubie Jazdy Konnej. Fot. z arch. Jarosława Kocho.

Poranne galopy

Konie, a zwłaszcza pełna krew i wyścigi, pochłonęły pana Jarosława bez reszty, więc studia zootechniczne na SGGW były wyborem całkiem świadomym i zrozumiałym. Na uczelni, częściej niż w „Studenckiej”, można go było znaleźć w bibliotece, zagłębionego w lekturze wyszperanej tam pracy magisterskiej Władysława Szulca z roku 1950 pt. „Dzieje konia pełnej krwi w Polsce”. Własną pracę magisterską pisał u prof. Jerzego Chachuły, oczywiście także o folblutach.

- Jej tematem było „Porównanie skłonności do kontuzji kończyn u potomstwa ogierów hodowli krajowej i importowanych”. Musiałem przewertować sporo materiału, głównie książkę leczenia w szpitalu - osobno kontuzje kości, osobno ścięgien, pasa barkowego itd. Ciekawy temat, ale okazało się że kraj pochodzenia ojca nie ma istotnego znaczenia.

Na studiach Jarosław Koch poznał swoją przyszłą żonę **Jadwigę**, córkę **Andrzeja Krzyształowicza**, dyrektora PSK Janów Podlaski, z którą byli na jednym roku. Przyszły hodowca nie porzucił także jeździeckiej pasji, zajmując się organizowaniem SKJ-u.

- Stworzyliśmy też Naukowe Koło Zootechników, które, podobnie jak SKJ, organizowało obozy w stadach ogierów. Pierwszy odbył się w Białce, potem w Starogardzie, Łącku. Jeździliśmy w zastępie, zazwyczaj pod okiem koniuszych. Ci, którzy radzili sobie lepiej, mogli jechać w teren. W Starogardzie galopowaliśmy nawet po polach grunwaldzkich, to znaczy tych, na których kręcony był film „Krzyżacy”.

Przed wszystkim jednak w czasach studenckich Jarosław Koch na dobre związał się z wyścigami. W sporcie nie odnosił sukcesów, więc zaczął dosiadać koni ze stajni wyścigowych podczas porannych galopów.

- Dziś wiele stajni bazuje na amatorach, którzy objeżdżają konie, ale wtedy byłem jednym z nielicznych, jeździło nas może dwóch, trzech. Niestety, ważyłem za dużo na gonitwy płaskie, więc jeździłem tylko płoty. To była niezła szkoła charakteru. Dziś, gdy jest np. -15 stopni, prezenterzy pogody w telewizji mówią, że jest siarczysty mróz. A my jeździliśmy nawet przy... -28! Treningi odbywały się na torze zielonym, bo roboczy był zamrożony, leżał śnieg, świeciło słońce. Nie było wówczas karuzeli, więc po gonitwie czekało nas pół godziny stępowania. Najgorzej marzły kolana, bo ze stopami sobie radziliśmy jeżdżąc... w walonkach. To obuwie dziś prawie u nas zapomniane i niedostępne, a szkoda, bo na takie mrozy nie ma lepszego!

Pan Jarosław na początku jeździł u **Stanisława Głowackiego**, na półkrewkach i arabach, ale to nie sprawiało mu takiej frajdy i satysfakcji, jak późniejsza praca z folblutami u **Stanisława Michalczyka**, **Kazimierza Jagodzińskiego**, **Aleksandra Falewicza** i **Mirosława Stawskiego**.

- Powstała też eksperymentalna stajnia **Mariana Baniewicza**. Zgromadzono w niej najlepsze konie pełnej i półkrewki z myślą o przygotowaniu ich na Pardubice. Niestety, pomysł ten nie do końca wypalił i w końcu upadł. W barwach tej stajni startowałem raz w Sopocie, na karym wałachu Minus kozienickiej hodowli. Nie odniosłem sukcesu i potem ten start niejednokrotnie wypominał mi wieloletni kierownik selekcji PTWK, **Tadeusz Milanowski**: - Pamiętam, pamiętam, Koch na Minusie startował!

Ze Służewca do Widzowa

Zamiłowanie do wyścigów, zrodzone z porannych galopów i startów w gonitwach, rosło z każdym dniem i miesiącem. Nic więc dziwnego, że Jarosław Koch marzył, by po studiach zostać na Służewcu i trenować konie.

- Żeby to sobie zapewnić, na trzecim roku poszedłem do dyrektora **Henryka Harlanda**, bardzo miłego i sympatycznego człowieka, i poprosiłem o ufundowanie stypendium. To był taki drobny wybieg: w tamtych czasach istniał obowiązek zatrudnienia, a fundowane stypendium trzeba było odpracować. Czyli otrzymując je, miałem pewną pracę na wyścigach! Ale gdy skończyłem studia w 1966 r., dyrektorem PTWK był już **Stanisław Kurowski**. Po wspólnej rozmowie doszliśmy do wniosku, że najlepiej by było, gdybym poszedł na staż do stadniny, tym bardziej, że na torze było już trzech stażystów, zwanych „magisterkami”: **Piotr Czarniecki** oraz **Maciej Janikowski** i **Andrzej Walicki** - moi starsi koledzy ze studiów. Zresztą wtedy już sam tego chciałem, bo z czasem dojrzałem do przekonania, że to właśnie w stadninie się tworzy, a na torze jedynie ulepsza materiał wyścigowy. Trener

tylko dostaje konia, którego stara się jak najlepiej przygotować, ale najważniejsza praca jest w stadninie.



Wybitny syn ogiera Connor Pass wyhodowany w Widzowie - Dixieland (od Dostojna po Dorpat) - pod Bolesławem Mazurkiem. Fot. Darosław Kędziński, z arch. "Konia Polskiego".

Dyrekcja PTWK wyraziła zgodę na staż. Jako warszawiak, Koch chciał być jak najbliżej stolicy, wybór padł więc na Kozienice. Jednak okazało się, że dyrektor Jaworski nie bardzo ma miejsce dla stażysty. A następny w kolejności był, leżący między Radomskiem a Częstochową, Widzów - jedna z najstarszych stadnin pełnej krwi w Polsce, założona przez **Lubomirskich** w ostatnich latach XIX w. To właśnie tu przyszło na świat wiele słynnych wyścigowców - wśród nich Lira, której imię nosi gonitwa Oaks, a wcześniej - jej ojciec, og. Sac-a-Papier, jeden z najbardziej zasłużonych dla polskiej hodowli reproduktorów, także patron gonitwy. Do koni widzowskich pan Jarosław miał od dawna sentyment, nie tylko dzięki sportowemu Laryksowi, ale i biegunom ze stajni Jagodzińskiego. Kierownikiem PSK Widzów był wówczas **Leonid Ter-Asaturow** - wielka postać polskiej hodowli arabskiej, angloarabskiej, a w końcu pełnej krwi.

- Z panem Ter-Asaturowem rozmawiało mi się bardzo miło. Gdy zobaczył, że orientuję się w temacie wyścigów i koni wyścigowych, chętnie wyraził zgodę na staż. On i jego żona, starsi już ludzie, przyjęli mnie i żonę bardzo serdecznie, zaopiekowali się nami niemal po rodzicielsku.

Gdy roczny staż się skończył, trzeba było wracać do Warszawy. Ale Leonid Ter-Asaturow miał wówczas już 71 lat i na pewno przydałaby mu się „młoda krew” do pomocy. Dyrektorem w Skrzydłowie, któremu to przedsiębiorstwu podlegała widzowska stadnina, został wtedy **Tadeusz Głóskowski**.

- Usiedliśmy we trzech i uradziliśmy, że jeśli chcę, to mogę zostać w Widzowie jako zastępca

Asaturowa. Moja żona dziś się śmieje, że przyjechaliśmy na rok, a zostaliśmy 40 lat! Od pana Asaturowa nauczyłem się wiele o hodowli, ale niestety nie dane nam było długo razem pracować - po dwóch latach zachorował i zmarł. Zostałem sam...

Los rzucił pana Jarosława na tę głęboką wodę w wieku zaledwie 25 lat. Na szczęście hodowca miał już pewną zaprawę, poza tym czasy były trochę inne niż dziś i pracowało wciąż wielu fachowców, mających ogromną praktykę w pracy ze zwierzętami. To dzięki ich pomocy, mimo niewielkiego doświadczenia nowego kierownika, odejście Asaturowa nie odbiło się w znaczący sposób na funkcjonowaniu stadniny.

Jak Bogumił Niechcic

Każdy, kto oglądał wspaniały serial „Noce i dnie”, pamięta, z jakimi problemami zmagał się Bogumił Niechcic w Serbinowie. Przez pierwsze lata swojej pracy w Widzowie pan Jarosław czuł się zupełnie jak on! Nie było łatwo...

- W stadninie była jedna kosiarka ciągnikowa, a poza tym same konne. Utrzymywaliśmy 10 koni roboczych - fiordingi i inne. Siano zbierało się w kopki, przetrząsało grabiami i wozami konnymi zwoziło do stodoły. Nie lepiej było ze zbiorem zbóż. Za moich czasów pracowały już dwie snopowiązałki i trzy ciągniki, zetory -to olbrzymi postęp, bo wcześniej była tylko żniwiarka. Ale plony nadal woziło się furmankami i układało w stertę, a zimą młóciło mechanicznie.

- Inna ciekawostka. Do dziś mamy 17 ha łąk w lesie. Odkąd pamiętam były one podmokłe i inaczej jak kosą nie dawało się skosić trawy. Dlatego robili to rolnicy z okolicznych wsi. Wyznaczało się im działki, na których kosili trawę, suszyli i wyciągali na wyższe partie. Teraz siano zbieramy sami, bo i meliorację w międzyczasie zrobiono, i sprzęt już inny, ale łąki sprawiają wciąż duże kłopoty i chyba ta stara metoda była bardziej ekonomiczna... W dodatku sytuacja się odwróciła: ponieważ w okolicznych wsiach rolnicy nie mają inwentarza, a łąki trzeba kosić, żeby wziąć dotacje, to przychodzą dziś do mnie, czy nie chcę zabrać siana! To taki znak naszych czasów...

Transport w stadninie oparty był głównie o pojazdy konne. Konie mechaniczne reprezentowała stara zdezelowana nysa, a potem warszawa pick-up, przerobiona następnie na kombi, którą pan Jarosław z przyjemnością jeździł na wyścigi do stolicy. Za to konie podróżowały na tor pociągami. Najpierw jednak trzeba było zaprowadzić rozbrykane roczniaki pieszo 2 km na rampę kolejową do Teklinowa. To musiały być „wesołe” spacerki!

Do podróży lokalnych dla ludzi, np. na stację, służyła bryczka z piękną parą siwych klaczy angloarabskich.

- Nazywały się Dumna i Bari, pan Asaturow kupił je w Janowie Podlaskim. Trzymałem je nadal, gdy już gospodarzyłem sam, ale pomyślałem, że w sumie ładnie byłoby jeździć folblutkami! Pracowało tu dwóch masztalerzy - przedwojennych specjalistów od powożenia, byłych stangretów. Ułożyli oni dwie klacze po og. Cross - piękne, ciemno umaszczone - Sentencję i Dewinę. Przyuczenie folbluta do zaprzęgu nie jest łatwe, ale w kilka tygodni klacze chodziły w bryczce; masztalerz był „dowódcą”, ja robiłem za praktykanta. Oczywiście takie pełnokrwiste cuganty musiały być regularnie ruszane, żeby nie było kłopotów. Nie raz jeździliśmy nimi 17 km do dyrekcji w Skrzydłowie -była to duża przyjemność i satysfakcja, a także zupełnie inna jakość. Niestety, zaprzęgowa kariera Sentencji i Dewiny trwała raptem rok - były to klacze elitarne, więc gdy się oźrebiły, z przejażdżek trzeba było zrezygnować.

- Ale folbluty w bryczce to jeszcze nic! Pewien rolnik spod Białowieży kupił kiedyś w Widzowie żrebną klacz. Wielokrotnie mnie zapraszał, abym przyjechał obejrzeć konie, ale czas znalazłem dopiero po paru latach. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem, że wałacha pełnej krwi, syna „mojej” klaczy, użytkuje on w gospodarstwie jak zwykłego konia roboczego!

Swoboda i nos

Lata mijały, Jarosław Koch zdobywał coraz większe doświadczenie, a w dodatku najwyraźniej miał to, co określane jest mianem „hodowlanego nosa”. Wertował księgi stadne i tablice genealogiczne, starannie pracował nad doborem klaczy pod poszczególne ogiery.

- Wielu hodowcom i właścicielom stadnin wydaje się, że jak ogier w jednym miejscu dał dobre potomstwo, to już będzie tak dawał wszędzie. Niestety, takich wszechstronnych ogierów jest stosunkowo mało. Na szczęście miałem dość dużą swobodę i właściwie... sam wybierałem ogiery do Widzowa. Zwłaszcza, gdy przychodziły konie z importu, udawało mi się korzystać z nich w pierwszej kolejności.

Jak to było możliwe w czasach, gdy o przydziale reproduktorów decydowali naczelnicy? Okazuje się, że wcale nie była to zasługa jakichś specjalnych „pleców”.

- Po prostu wcześniej zapoznawałem się w ministerstwie z ofertami i katalogiem ogierów, po które mieli jechać i z góry mówiłem, że mnie ten czy tamten koń interesuje. Ponieważ były to świeże importy, niesprawdzone jeszcze, to nie każdy z kolegów hodowców się do nich rwał. Woleli sprawdzone, a te nowe brał właściwie tylko **Maciej Świdziński** i ja. Hodowla pełnej krwi ma ten plus, że wszystko jest udokumentowane. Można łatwo sprawdzić nie tylko pochodzenie, ale i co dany ogier wygrał, gdzie zaczął kryć i co dał.

Właśnie dzięki takiemu wyborowi trafił do Widzowa Connor Pass (Tiepolo II - Windfield Lilly po Hard Track). Zaimponował hodowcy tym, że wygrał irlandzki St. Leger bijąc og. Star Appeal, który trzy tygodnie później zwyciężył w Łuku Triumfalnym.

- „Nosa” miałem widać niezłego, bo bardzo dobrze się sprawdził - dał m.in. wybitne ogiery Dżudo (od Dżuni) i Dixieland (od Dostojnej). Tak samo wybrałem Dakotę (Stupendous - Ardneasken po Right Royal)

- zapoznałem się z jego karierą wyścigową, zobaczyłem z jakimi końmi się ścigał. Poza tym bardzo mi się ten koń podobał - był taki „nabity”, atletyczny, widać w nim było jakąś siłę. U mnie od razu w pierwszym roczniku dał Salome (od Sentencji) - zwyciężczynię Nagrody Wiosennej, a w drugim - wspaniałą Sonorę (od Serbii), która jako trzylatka wygrała 5 wyścigów, przegrywając tylko Derby. Sonora dała później derbistę Solozzo i Santa Monikę - matkę trójkoronowanego San Moritza (po Roulette) i klasowego San Luisa (po Dixieland). San Moritz w tym sezonie zajął boks czołowego w Widzowie. Ciekawostka, że on i słynny Secretariat mają tę samą 13. matkę!

Jarosław Koch sam jeździł za granicę po kilka reproduktorów, wybierając m.in. og. Pyjama Hunt (Huntercombe - Kamiyaana po Charlottesville). W Widzowie nie dał wybitnego potomstwa, ale był ojcem Sokmana (od Sonory), który po sprzedaży do Niemiec w wieku 2 lat odnosił tam duże sukcesy i w gonitwach płaskich wygrał 100 tys. marek. Dużo lepiej sprawdził się Pyjama w innych stadninach, gdzie dał m.in. trzech derbistów.

Mniej udanym wyborem okazał się Orange Bay (Canisbay - Orange Triumph po Molvedo) - piękny, duży koń i wspaniały wyścigowiec, derbista włoski.

- Trudno było go kupić, ale chyba Anglicy się na nim jednak poznali, bo w końcu go sprzedali i to wcale nie tak drogo, co powinno zastanawiać. Trochę zawiodłem się, jeśli chodzi o wyniki jego potomstwa w Polsce. Z drugiej jednak strony nie mogę narzekać, bo pokrył mało klaczy - były do niego wysyłane, gdyż nie stał w Widzowie - a od Dżungarii doczekałem się Dżugary, matki niesłychanie dzielnej Dżiuseppy, która w wieku 4 lat wygrała 6 wyścigów pozagrupowych.

Jarosław Koch brał także udział w ostatnim państwowym zakupie, gdy do Polski trafił niemiecki derbista Belenus (Lomitas -Beaute po Lord Udo), zajmujący obecnie 1. miejsce pod względem sumy wygranych potomstwa.

- Przez te 40 lat udało mi się dobrze wybrać kilka ogierów, m.in. sprowadzonego z Włoch Rutillo Rufo (One for Ali - Rosie Rose po Unconscious), a ostatnio - Roulette (Machiavellian - Rimsh po Storm Bird), którego znalazłem, jako ulubionego wierzchowca u amatora jazdy konnej w Warszawie. Po dość długich negocjacjach wydzierzałem go na kilka lat.

Ogierzy są oczywiście ważne, ale każdy świadomy hodowca wie, jakie znaczenie ma rodzina matki. Dla pana Jarosława kopalnią wiedzy na ten temat są „Tablice genealogiczne” **Bobińskiego/Zamoyskiego** (ostatni, IV tom wydali Japończycy), gdzie konie uszeregowane są właśnie według rodzin żeńskich.

- Do Polski trafia teraz bardzo dużo obcych reproduktorów, ale przyznam się, że jeśli rodziny takiego importa nie ma w tablicach, to ten ogier mnie nie interesuje - mówi.

W Widzowie, wśród wielu rodzin, dwie są naprawdę znakomite: Silistrji i Dubissy. Z pierwszej pochodzi czworo derbistów, z drugiej zaś - m.in. trójkoronowana Dżamajka oraz Dżamina i Dżudo, a ostatnio -Dżazill.

Sławne i ulubione

Jarosław Koch, zapytany, którego z wyhodowanych przez siebie koni ceni najbardziej, bez wahania odpowiada: Dixielanda)

- Jest dla mnie najwybitniejszy z punktu widzenia hodowlanego. Sam świetnie biegał, choć w wieku 3 lat przeszedł ochwat i nie mógł startować w Derby. Zresztą w sumie dobrze, że tak wyszło, bo w tym roczniku miałem trzy genialne konie: Derby wygrała Sinaja, St. Leger i Rulera - Dżudo, a Wielką Warszawską - z miejsca do miejsca Dixieland. Potem zdał na 5 egzamin jako reproduktor - lepszego krajowej hodowli po wojnie trudno znaleźć, a w dziejach hodowli w ogóle stawiam go tuż za Rulerem. Można by się spierać, czy nie ważniejszy był Sac-a-Papier, ale i on, i Ruler są owocami myśli francuskiej - oba przyjechały w łonach matek. A Dixieland został „stworzony” tutaj. Był dobrze wykorzystany, a najważniejsze, że dano mu szansę krycia we wszystkich stadninach (z wyjątkiem Iwna). W każdej z nich dał konie wygrywające gonitwy pozagrupowe, w tym trzech derbistów: w Golejewku - Bachusa, w Stubnie - Limaka, a w Widzowie - Solozzo. Ten ostatni był wspaniałym dwulatkiem, wygrywał m.in. w Czechach, ale w kraju miał swoich odwiecznych rywali z Jarosówki - Omena i Dyktatora, z którymi dwa razy przegrał. Wydawało się, że i w Derby nie ma szans, tymczasem wspaniale wyszedł z ostatniego miejsca i pamiętam, jak po kolei „liczył” konie.

Dixieland dał dwoje zwycięzców WW: Zagarę i San Luisa. Wszechstronny, dzielny i zdrowy San Luis - ostatni syn Dixielanda -wydierżawiony jest na ten sezon do Janowa, gdzie kryje w półkrwi. We Włoszech i w Czechach świetnie biegał Masini, który teraz kryje w Kozienicach - w czeskich statystykach z 2009 r. zajął on 1. miejsce pod względem kwoty wygranych - „zgarzył” 13,5 miliona koron! Córką Dixielanda jest też derbistka półkrwi Banderola, najbardziej znana z późniejszych startów pod **Piotrem Piaseckim** w WKKW, z którym zdobyła mistrzostwo Polski.

Większość opracowań jako najwybitniejszego konia lat 60-70. wymienia og. Dipol (Antiquarian - Dostojna po Dorpat). Dla niektórych wciąż pozostaje zagadką, jak koń, w którego nikt nie wierzył, kiepski „na spodzie”, mógł zostać trójkoronowanym!

- Konie widzowskie biegały w dwóch stajniach: M. Baniewiczza i **Grzegorza Klamara**. Do każdej mieliśmy dać po 12, ale rocznik był liczny, więc trzy zostały: Dipol, Wernisaż i Secesja. Takie konie mogą wziąć inni trenerzy, gdy mają wolne miejsca w swoich stajniach. Dipol był koniem masywnym,

flegmatycznym, no i faktycznie można było mieć zastrzeżenia do jego przednich nóg. Gdy przyjechał trener Andrzej Walicki, poszliśmy na padok obejrzeć konie: Wernisaż po Crossie - skarogniady, leciutki, pięknie się ruszający, i ten nieszczęsny Dipol - wielki, ciężki, w typie półkrwi, w ogóle nie chciał się ruszyć... Walicki wybrał Wernisaża, który okazał się koniem dzielnym, ale nie wybitnym. A trener **Józef Paliński** wziął później to, co zostało -Secesję oraz Dipola. I zrobił z niego gwiazdę! Jako dwulatek Dipol wygrał wyścig w Wiedniu, a jako trzylatek biegał bez porażki, we wszystkich gonitwach poza Derby wygrywając lekko. W dodatku do końca wyścigowej kariery nie miał żadnych problemów z nogami!



Wybitny syn ogiera Connor Pass wyhodowany w Widzowie - Dżudo (od Dżuni po Antiquarian) - pod Mieczysławem Melnickim. Fot. Darosław Kędzierski, z arch. "Konia Polskiego".

Zdrowie Dipol w ogóle miał żelazne. Na mityng KDL do Moskwy pojechał między St. Leger a WW, koniowozem chałupniczo przerobionym z autobusu. Tam, najpierw w Nagrodzie Moskwy przyszedł za dwoma rosyjskimi końmi, tydzień później je rozdzielił, po czym wrócił i dość łatwo wygrał WW. Po karierze wyścigowej był używany w hodowli i choć wielkich sukcesów nie odniósł, to jednak w Kozienicach i Golejewku dał konie, które wygrały wyścigi pozagrupowe.

To konie najślynniejsze. A do których pan Jarosław ma największy sentyment?

- Bardzo lubię Dżamajkę - i za dobry charakter, choć w treningu miała średni, i za wspaniałe wygrane, za te momenty wzruszenia, których przysporzyła. W wieku 3 lat wygrała wszystkie 6 gonitw, w których startowała! Zwykle zwyciężała lekko, ale do dziś pamiętam, jak podczas Oaks omal nie dostałem zawału, bo finisz był [za późny; zwyciężyła tylko o szyję, w walce z Donną Polonią.

Hodowca bardzo ceni sobie ogiera Dżudo. W Polsce wygrywał nagrody klasyczne, a w 1981 r. po

sprzedaży na aukcji, za rekordową na owe czasy sumę 50 tys. dolarów, poszedł do Szwecji.

- Z jego sprzedażą wiąże się ciekawa historia. Aukcja odbywała się w środkowej trybunie na Służewcu, gdzie przy okazji prezentowane były obrazy koni, a wśród nich portret Dżudo. Szwed, który kupił ogiera, kupił także ów obraz i mi go sprezentował!

U nowego właściciela Dżudo ruszył na podbój Europy. W Hiszpanii wygrał Złoty Puchar w San Sebastian; jako chyba jedyny polski koń biegał w Ascot Cold Cup w Anglii i był 5. Startował też w tuku Triumfalnym - tylko on i iwnieński Pawiment wystąpiły w tej gonitwie.

Niestety, o większości sprzedanych za granicę koni słuch ginie po zakończeniu przez nie kariery na torze. Tylko nieliczne wracają do Polski, a szkoda, gdyż wiele z nich warto byłoby wypróbować w hodowli półkrwi. Patrząc choćby na takiego Dżudo - pięknego, dużego, karego konia - żał, że nie mógł być wypróbowany jako reproduktor. Poczesać może fakt, że za granicą jednak czasem doceniają nasze konie: wypatrzone w Widzowie przez **Františka Holčaka** świetny sprinter Scyris, który w ostatnich latach święcił triumfy na torach czeskich, słowackich i austriackich, właśnie zaczął karierę reproduktora w Czechach.

Konie z Widzowa wyróżniały się już wcześniej w hodowli półkrwi i sporcie. Styl krył w Walewicach i Ochabach, Dżamir -w Liskach i Posadowię. Na południu (Ochaby, Udórz) epokowym ogierem okazał się Saroyan (Antiquarian - Sardynia po Casanova). Z Widzowa pochodziły: znakomity Dersu, na którym **Stanisław Marchwicki** odnosił sukcesy w skokach, i Bart, który pod **Jadwigą Małychą** z powodzeniem startował w WKKW. Wyróżniały się też Dino, Woroneż, San Siro...

- No i koniecznie muszę się pochwalić siwym Murzynkiem (Szczecin - Mira), który w 1975 r. pod **Janem Kowalczykiem** startował w Madison Square Carden, gdzie zajął 3. miejsce w Wielkiej Nagrodzie Nowego Jorku - dodaje hodowca.

Wielu swoich wychowanków i podopiecznych z Widzowa pan Jarosław sam dosiadał. Oczywiście już nie w gonitwach i na zawodach, tylko dla przyjemności. Jednym z ulubieńców był Antiquarian - jego „równolatek” w stadninie

-Ja przyszedłem w listopadzie, a on przyjechał z Anglii w styczniu. Krył przez 6 lat i od początku dawał wspaniałe potomstwo - urodziwe i dzielne. Moje pierwsze wielkie sukcesy związane są właśnie z Antiquarianem. To był piękny koń, jak z angielskiego sztychu, w dodatku miał znakomity charakter, był odważny, wspaniale nosił. Sympatyczny był Connor Pass, bardzo lubiłem też Crossa. Jazda na tych ogierach sprawiała mi wielką frajdę, bo były odważne i spokojnie galopowały. Oczywiście jeździłem bez szaleństw i tylko po terenach stadniny, bo konie stanowiły własność państwową i nie chciałem ryzykować. Na innych jeździłem też dalej „w świat” - do lasu, w dalsze tereny.

Jedną z ulubionych wierzchówek Jarosława Kocha była Dżiuseppa, która po ojcu, og. Who Knows, odziedziczyła bardzo dobry charakter, do tego była duża, o długiej akcji, w galopie dosłownie płynęła. Nie lubił za to brać pod siodło Dixielanda i Dakoty. Pierwszy był charakterny i uparty, drugi - trochę płochliwy, więc jazda na nich nie była przyjemna.

Zmiany, zmiany...

Jarosław Koch przyznaje, że to konie pełnej krwi trzymają go w Widzowie od tylu lat. Bardzo podoba mu się w tej rasie to, że stosunkowo szybko może sprawdzić, czy jego koncepcje były dobre. Miał swego czasu ofertę, by zająć się arabami, ale to jednak nie to...

- W przypadku innych ras - nie tylko arabskiej, ale i półkrwi - dużo większe znaczenie ma ocena „płytowa”, a ona różnie przebiega, bo oko ludzkie jest zawodne. Widać to zwłaszcza na czempionatach arabskich, które śledzę i prawie co roku jestem w Janowie. A z folblutami sprawa jest prosta: po dwóch

latach koń idzie na tor i albo wygrywa, albo nie. Pewnie, że zawsze można powiedzieć: no tak, ale zły trener, jeździec, warunki... Ja w to nie wierzę - uważam, że jak koń jest dobry, to w jakimś momencie musi się pokazać, nawet jeśli trener popełnił jakieś błędy. Oczywiście, stara zasada wyścigowa mówi, że forma bije klasę, tylko że ta forma się zmienia. I nawet jak koń nie wygrywa najważniejszych wyścigów, to w pewnym momencie pokaże jakieś przebłyski klasy, jeśli ją ma. Ja też nie raz zmieniałem koniom trenerów i trening, i na ogół wychodziło im to na dobre. Ale życie nie składa się z samych sukcesów i mnie czasem się nie udawało.



Trójkoronowana Dżamajka (Juror - Dżamira po Rutillo Rufo) pod Tomaszem Dulem; klacz przyniosła hodowcy wiele chwil wzruszenia, wygrywając w wieku 3 lat we wszystkich sześciu swoich startach. Fot. Włodzimierz Sierakowski.

Kiedyś było chyba jednak łatwiej... Stadniny należały do państwa, konie szły na państwowy tor, do firmowych trenerów, biegały, a gdy kończyły karierę wracały do stadnin, albo szły na sprzedaż. Dziś najczęściej są sprzedawane lub wdzierżawiane zanim trafią do treningu. Czy ten wolny rynek to naprawdę lepsze, zdrowsze rozwiązanie? Pan Jarosław, podobnie jak wielu innych hodowców, którzy pamiętają czasy sprzed zmian ustrojowych, uważa, że dawniej był lepszy klimat do pracy hodowlanej.

- Mówię może rzeczy niepopularne, ale czujemy to wszyscy. Weźmy choćby fakt, że kiedyś co roku państwo kupowało ogiery. Na torze też było inaczej. Oba warianty - dawny i dzisiejszy - mają swoje dobre i złe strony. Minusem starego było to, że każdy trener - czy dobry, czy kiepski - miał zapewniony byt do emerytury, bo co roku dostawał nowe konie „z przydziału”. Hodowca czy właściciel nie miał wpływu na to, do kogo trafiają, czasem więc zgrzytaliśmy zębami. Ale z drugiej strony stadniny działały, hodowla się rozwijała. Dziś -kto nie ma wyników, ten pada. Dotyczy to zarówno trenerów, jak i stadnin - proszę zauważyć ile jest bliskich upadku. Nie jest to jednak wyłącznie wina zmiany systemu, duży wpływ miały zawirowania na Służewcu. W pierwszych latach po prywatyzacji w 1994 r. nie było problemu ze sprzedażą czy wdzierżawieniem koni. Wielu znanych ludzi chciało mieć własne wyścigowce, a dziś zainteresowanie jest znikome, podobnie jak samymi wyścigami.

- Wyścigi zostały uratowane, ale perspektywa jest wciąż mglista. Tajemnicą poliszynela jest, że Totalizator Sportowy „wziął” je, bo minister kazał, zresztą nie po raz pierwszy w historii. Motorem wyścigowego biznesu jest wysokość nagród, a nie liczba gonitw i dni wyścigowych. Jeśli nagrody będą wyższe, będzie i większe zainteresowanie. A nie będą wyższe, jeśli nie powstanie obiecana sieć punktów totalizatora, z przekazem satelitarnym, sprawną informacją. Dopóki TS tego nie zrozumie, będziemy tkwili w tym marazmie! Poza tym - dlaczego brak reklamy? Owszem, zakładów reklamować nie wolno, ale czemu nie ma plakatów i folderów informujących o wyścigach jako takich - pięknym widowisku z udziałem wspaniałych koni, ścigających się na najpiękniejszym torze w Europie, którym tak się szycimy? Widać, że TS nie ma do tego serca, brak tam ludzi, którzy by czuli i wyścigi, i hodowlę.

Zmieniły się nie tylko wyścigi, ale i rola pełnej krwi we współczesnym świecie. Minęły czasy kiedy polska kadra jeździła na folblutach, teraz popularne są zachodnie rasy. Liczba klaczy w naszym kraju zdecydowanie spadła, a w czasach, gdy nasienie można sprowadzić choćby z drugiego końca świata, maleje rola stad ogierów.

- Rzeczywiście, wygląda na to, że w przyszłości folbluty będą używane głównie do wyścigów - mówi pan Jarosław. -Niestety, zaczął się masowy import koni wyścigowych z Zachodu, głównie z Irlandii, gdzie koniunktura mocno spadła. Wszystko wskazuje na to, że powoli będziemy stawać się taką „firmą”, jak sąsiednie kraje, gdzie konie kupuje się za granicą, by biegały, widowisko jest, ale krajowa hodowla upada. Coraz mniej ogierów używanych jest także w rasach półkrwi, choć słyszałem już opinie, że trzeba wracać do dolewu pełnej krwi w hodowli koni sportowych.

Niepewny los

Zmiany okresu przekształceń nie ominęły także Widzowa: w 2000 r. stadnina została sprzedana. Jej nowym właścicielem został biznesmen **Krzysztof Tyszko**, który na szczęście okazał się miłośnikiem koni i połączył wyścigowego bakcyła.

- Chciał „bawić się” w wyścigi, więc i ja mogłem dalej robić to, co kocham. Widział moje zaangażowanie, cenił mnie i miał do mnie zaufanie. Zresztą w ogóle miałem szczęście do szefów. Zarówno z Tadeuszem Cłoskowskim, któremu podlegałem przez 30 lat, jak i z Krzysztofem Tyszką pracowało mi się bardzo dobrze. Skrzydlów jest dziś zupełnie odrębną firmą, a pan Cłoskowski od wielu lat jest na emeryturze, ale wciąż utrzymujemy bardzo sympatyczne kontakty.

Jarosław Koch od dwóch lat też jest na emeryturze, ale nadal prowadzi stadninę. Za jego dokonania hodowlane PZH Koni Pełnej Krwi Angielskiej przyznał mu w 2010 r. swoje wyróżnienie, wręczone podczas Cali Wyścigowej. Przez 42 lata jego pracy w stadninie urodziło się blisko 1000 źrebiąt i tylko w trzech sezonach widzowskie konie nie wygrały gonitw poza-grupowych! Końskie imiona wymyśla sam, starając się, żeby były ciekawe i nieznanne w innych rasach, w sporcie. Nie jest to łatwe, więc korzysta z... pomocy naukowych - słowników i encyklopedii.

- Miło spojrzeć potem w tablice genealogiczne, gdzie obok takich gwiazd jak Northern Dancer, czy Secretariat widnieje widzowski Solozzo, noszący imię (a raczej nazwisko) jednego z bohaterów filmu „Ojciec chrzestny”...

Pan Jarosław opowiada to wszystko z nutką nostalgii... Niestety, w styczniu 2010 r. Krzysztof Tyszko zmarł i nie wiadomo jak potoczą się losy stadniny - czy rodzinie biznesmena wystarczy zapału, by ją dalej prowadzić? Jemu - choć jest już emerytem - na pewno trudno myśleć o niepewnej przyszłości miejsca i koni, którym oddał serce...

Na razie jednak życie w stadninie toczy się swoim rytmem, a na Służewcu wiosną wyjdzie do startu kolejny rocznik widzowskich dwulatków. Niech zatem fortuna im sprzyja!